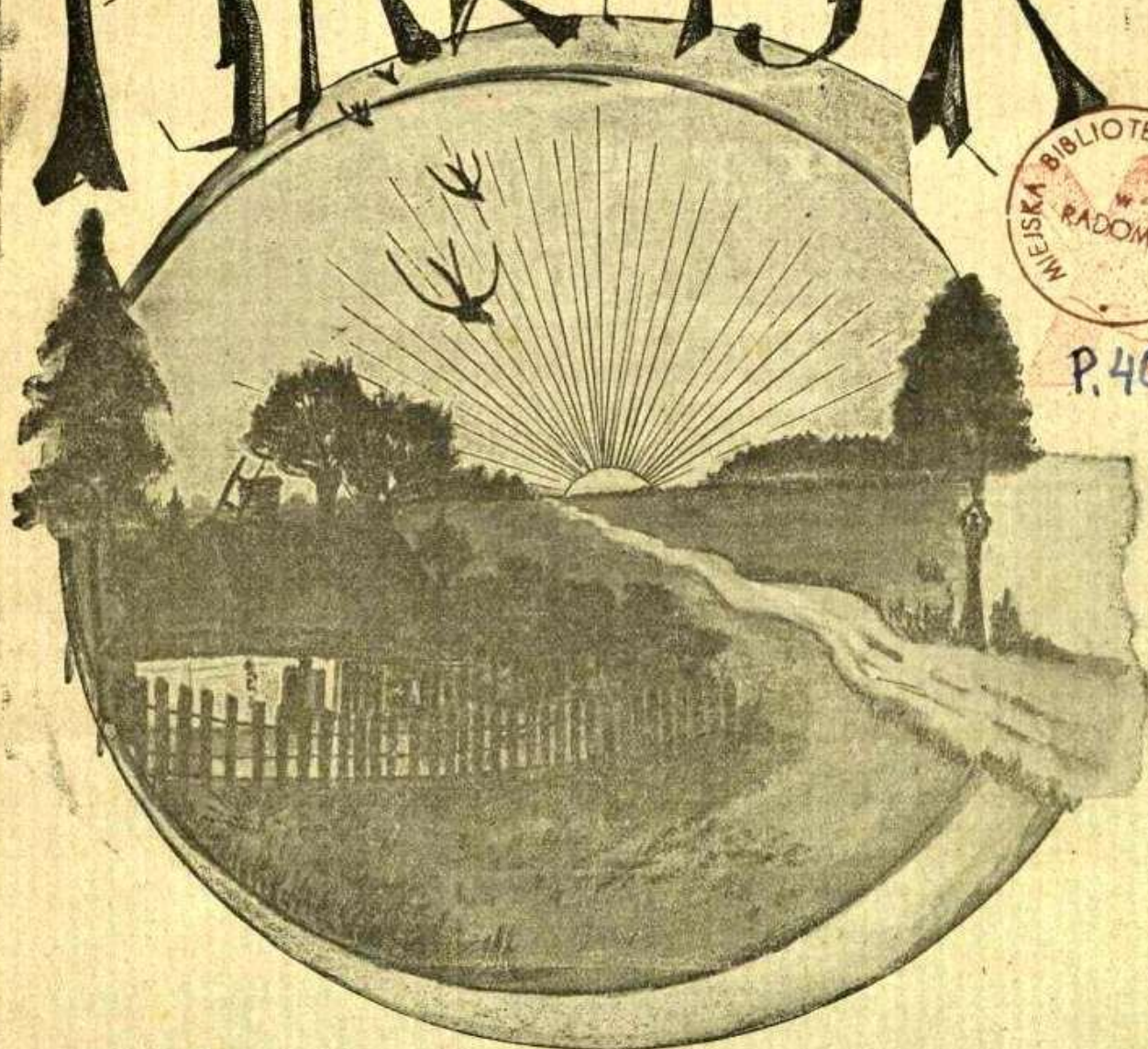


BRZASK



P. 409

Dwumiesięcznik uczennic Semi-
narjum Naucz. i Gimnazjum
w Marjówce

HEJ, BRZASKU NASZ!

Hej, Brzasku nasz, stworzyliśmy ciebie
Z dziewczęcych marzeń, wspomnień i planów,
Z gwiazd na błękicie, z ziemskich kurhanów,
Z tęczyowych blasków i — z samych siebie!
Hej, Brzasku nasz, stworzyliśmy ciebie
Z uśmiechów, z łez i z naszych serc bicia;
I wstałeś z martwych, nabrałeś życia,
Bośmy w twych kartkach zamknęły siebie.

Hej, Brzasku nasz, stworzyliśmy ciebie,
Byś jak brzask jaśniał, rozbrzmiewał śmiechem,
Byś w czasie zimy był wiosny echem,
Żebyśmy w tobie znalazły — siebie.

Hej, Brzasku nasz, stworzyliśmy ciebie
Dla tych, co zdala tęsknią za nami,
Którzy są stale przy nas sercami,
Którym nie można dać nic — prócz siebie.

Hej, Brzasku nasz, stworzyliśmy ciebie,
Byś niósł wieść o nas w nasz dom rodzinny:
By ojcom posłać uśmiech dziecinny,
By w tobie posłać swym matkom — siebie.

Kurs IV

Z WRAŻEŃ WAKACYJNYCH.

— Wakacje! wakacje! — Ileż radosnego oczekiwania mieści się w tym okrzyku! Wakacje! Co one nam przyniosą? O, z pewnością coś miłego, coś radosnego. Dwa miesiące swobody! Dwa miesiące beztroskiej zabawy. Wakacje!

Łomża! Nareszcie! Chwytam walizkę i wyskakuję z pociągu. Od długiego siedzenia nogi mi zdrętwiały. Idę niepewnie. W głowie szum i łoskot. Nagle ktoś zabiera mi walizkę, ktoś całuje mię serdecznie, ktoś ściska moją rękę, ktoś mówi do mnie pieszczotliwie. Słyszę w kochanych słowach łzy. I mnie pod powiekami coś piecze... Coś ciepłego płynie po twarzy. Nie staram się ukryć wzruszenia, bo nie mogłabym. — Zmierzniałaś maleńka!.. — Cóż zrobić, pracal.. — Staram się mówić poważnie, ale już łzę spędził łobuzerski uśmiech. Patrzę na kochane twarze i widzę w nich troskę. Czeką na ciebie prace nie mniej ciężkie od nauki. Czy aby dasz radę? — Dami! Idziemy szybkim krokiem w milczeniu. Myślą wy-

biegam naprzód. Przed sobą widzę gromadkę trzy-czteroletnich baków. Uśmiecham się do nich. — Będę dla was dobrą! — czynię przyrzeczenie.

Szybko przebiegam znane, ale tak dawno niewidziane ulice. Raz poraz spotykam znajome osoby. Krótki okrzyk zdziwienia, ciepły uścisk ręki, zwyczajne, a jednak tym razem tak serdeczne „Co słyhać?” — i znów przebiegam ulice. Ktoś za mną wymawia moje imię. Staję, uśmiecham się. — Już pani w Łomży? — Nie cieszy was to? — Przeciwnie, nie mogłyśmy się pani doczekać. Za kilka dni rozpoczynamy pracę. — Wiem i dlatego tak śpieszyłam. — Ale my już dzisiaj kolejno urzędujemy w magistracie. Gdybyśmy wiedziały, że pani tak wcześnie przyjedzie... A może pani ma czas?... — Chodźmy, pomożemy wam! —

Staję w drzwiach i patrzę z uśmiechem na zebranych. Przy stoliku, ustawionym pod dwoma okienkami, siedzi kilka pań i pisze coś.

— Dzieńdobry! — Podniosły się głowy i skupione twarze rozjaśniły się przyjaznym uśmiechem. Kilka rąk wyciągnęło się z serdecznym uściskiem. — Jest już nasza najmłodsza współpracownica! — Nic pani nie urosła! I nie spowaźniała pani, panno Olul! — Przedstawiają mnie tegorocznej kierownicze półkolonji. W jej oczach widzę zdumienie. — I pani, sama dziecko, będzie wychowawczynią dzieci? — pytają zdziwione oczy. — Tak, tak! — odpowiadam również oczami. Krzyki w poczekalni i bombardowanie do okienek. Siadamy do pracy. Dostaję cały stos kartek, na których mam wypisywać nazwiska przyjętych dzieci i oddawać je matkom. Przy okienku ścisk. W poczekalni tłoczy się kilkaset osób. I nic dziwnego. Dzięki tej karteczce, matki przez sześć tygodni nie będą patrzyły na błagalne oczęta swoich maleństw, nie będą słyszały bolesnego: — Mamo jeść! — Gniołają się więc przy okienku, przepychają się i krzyczą. Och, jak strasznie krzyczą! Po półgodzinnej pracy czuję silny ból głowy, na twarz występują rumieńce. — Pani, a dla mojego Antka karteczka jest? — Nie, doktor orzekł, że Antek nie potrzebuje, bo dobrze wygląda. — Coto dobrze wyglądał! Ja nie mam mu co dać do gęby, sama z głodu zdycham. Bodaj was!... Spojrzałam na urzędujące panie. Zdały się nie słyszeć gradu przekleństw, spadających na ich głowy. Tylko czoła pochylili się niżej i ręce drżały. W drugim okienku ukazała się blada, wynędzniała twarz młodej kobiety. — A ta Gerkiewiczowa jest? — Jest w drugim pokoju.

— Weszła siwowłosa pani. — Co mi powiecie? — A to, pani, co będzie ze mną? Ja już z dziećmiakami trzy noce spędziłam na dworzu. Jak psyl! — Zaczerwienione oczy błysnęły wściekle. — Co będzie? Ja już dzieciaków nie będę trzymać na dworzu! — Mówcie ciszej! — Co, ciszej? Uszy was bolą? A jak nam na łby woda cieknie, jak mi dzieci chorują. — Zachłysłnęła się i tylko oczy wściekle, tylko twarz okropnie wykrzywio-

na dokończyła zdania. — Uspokójcie się! Dostaniecie pracę i mieszkanie! — Nie chcę! Weźcie dzieci do ochrony, a sama dam radę! — W ochronie niema miejsca. — Coto niema, musi być! — Ale, kobieto, jeżeli niema, to ja go nie stworzę! — Co nie stworzycie? Musicie stworzyć! Regina, Władek, chodźcie tu! — Nim zorjentowałyśmy się, co ta kobieta chce zrobić, już sześciolatnia dziewczynka znalazła się w naszym pokoju, a w okienku zatrzepotały się nogi czteroletniego chłopca, potem ukazał się półtoraroczny malec. Za chwilę cała trójka z płaczem czepiała się okienka i przerażliwymi głosami wołała matki, która już uciekła. Patrzyłam z przestachem i nic nie rozumiałam, Kierowniczką zaś szeptała z woźnym. Po niedługim czasie dzieci, pochlipując, jadły łapczywie bułkę. Za okienkami rozlegały się skargi, przekleństwa, wrzaski. Istne piekło. Chwyciłam się za głowę, w której uczułam silny ból.

— Niech już pani idzie — odezwiała się kierowniczka — same skończymy! — Wyszłam na ulicę, jak pijana. — Boże, toż to piekło na ziemi! Ile nędzy, ile skrajnej nędzy! — Skreśliłam i znalazłam się przed katedrą! Weszłam do świątyni. Otoczyła mnie święta cisza. — Boże! — prosiłam — dodaj mi siły. Pozwól mi chociaż trochę ulżyć tym biedakom. Naucz mnie, jak się zbliżyć do tych ludzi, którzy każdego obrzucają gradem przekleństw. Jak postępować z temi maleństwami, które od pierwszego dnia swego życia znają tylko cierpienie. Spraw, żebym umiała przemówić do tych matek, które nie są złe, tylko bardzo, bardzo biedne..

— — — — —

Minęło sześć tygodni, jak sen... Ostatni dzień półkolonji... Uroczyste zakończenie.. Moje maleństwa w kolorowych czapeczkach skaczą przed publicznością: „My jesteśmy krasnoludki hopsa-sa hopsa-sa!” — Ostatni posiłek w klasie. Dzieciaki pałaszują placek, piją kakao i gaworzą weselo. Kierowniczka przynosi cukierki, które wywołują wśród dzieciarni niezmierną radość. Wreszcie wszyscy się nasycili — Płosę pani, ja już nie chcę! — I ja już nie chcę! — Dzieci, czy to tak się mówi? Jak ja was uczyłam? — Dziękuję! — Płosę! — Dowidzenia! — Dzieńdobry! — wykrzykują malcy zwroty grzecznościowe, których starałam się je nauczyć. Otwieram drzwi. Na korytarzu tłum. — Proszę, zabierajcie swoje pociechy!.. — wołam ze śmiechem, ale głos mi zadrżał. Teraz dopiero poczułam, jak bardzo pokochałam te maleństwa. Otaczają mnie wzruszone twarze matek. Tysiące podziękowań, tysiące błogosławieństw. Kilka kobiet popycha dzieci, które trzymają olbrzymie bukiety. Malcy ze śmiechem podają mi kwiaty i dają „buzi” Jakaś kobiecina chce mnie pocałować w rękę. Chcę przemówić, ale nie mogę. Coś mi dławi. Więc tylko ściskam ich dłonie i uśmiechem dziękuję. Kilka matek prosi, żebym je odwiedziła przed odjazdem. Obie-

cuje im to. Powoli klasa opróżnia się. Zostaję sama z całym stosem kombinesek, fartuszków i kapelusików, w które codziennie stroiłam swoje dzieci. Teraz trzeba to wszystko poukładać i oddać kierownicze. Przechodzę do pokoju personelu. Pożegnalny obiad i — skończyło się. Wychożę na zalany słońcem dziedziniec. Kilka kobiet podniosło się z trawy kilkanaścioro dzieci podbiegło do mnie. Czekają na swoją panią — Płose pani, bawić się! — A w co chcecie? — Gonić! — Dobrze. Raz, dwa, trzy! — Pomknęłam przed siebie, a za mną biegła gromadka dzieci. Wreszcie pozwoliłam się złapać. Zasapane maleństwa uczepliły się mojej sukienki i poprowadziły do „kozy” — Teraz śpiewać! — Siadamy na trawie i zaczynam ich ulubioną piosenkę „Mały Tadeuszek”. Lecz czas wracać. Powstałam. — No, dzieci, na dzisiaj dosyć! — A jutro też będziemy się bawic — z powagą oświadczają maleństwa. Najmniejsza pociecha, Danusia, wsuwa małą łapkę w moją rękę i nóżką robi pocieszny „dyg” — Dziękuję... — (Chciała powiedzieć dowidzenia, ale pomyliła się). Patrzę na dzieci i nie mam siły wyjść stąd. I matki, tak zwykle gadatliwe, stoją w milczeniu. Chwyciłam Danuszkę na ręce i ucałowałam ją. Mała objęła mnie za szyję. Postawiłam dziecko na ziemi i, rzuciwszy krótkie „Bądźcie zdrowi”, odeszłam. Za mną pogonili życzenia i podziękowania matek.

Minęły wakacje. Znalazłam się w murach szkolnych, wśród grona koleżanek. Opowiadamy swoje przeżycia. I ja mówię dużo o swoich dzieciach. Patrzą na mnie ze współczuciem. — To całe wakacje tak się męczyłaś? Nie odpoczęłaś zupełnie! — O nie, ja się nie męczyłam. Wypoczęłam wybornie. Ta praca nie była pracą, to był słodki wypoczynek, to była miła zabawa, to były najmiłsze dni w moim życiu.

Ola T. kurs IV.

W PRZEDDZIEŃ PRZYJAZDU...

Cichutko lekki wiaterek usiadł na gałązeczce śpiącej jabłoni i, patrząc w srebrną twarz księżyca, zanucił:

Luli, sadku śliczny, luli,
Sen spokojny niech cię tuli,
Sen spokojny niech cię pieści,
W śnie wysłuchaj miłej wieści.

Luli, sadku śliczny, luli,
Sen spokojny niech cię tuli,
Już się kończą ciche czasy
I nastaną znów hałasy.
Luli, sadku śliczny, luli,

Sen spokojny niech cię tuli,
Bo już jutro się zjeżdżają
Te, co wypaść się nie dają.

Poruszył się senny sad. Zadrżały biedne drzewa i sen od nich daleko odleciał. — Jutro, jutro, dlaczego już jutro? Tak krótko, tak krótko trwał nasz odpoczynek! —

A wietrzyk nuci dalej:

Luli, sadku śliczny, luli,
Sen spokojny niech cię tuli,
Śpijcie śliwy i jabłonie,
Póki zdala są ich dłonie!

Zajęczały drzewa: — Nie dadzą nawet dojrzeć naszym owocom. Ich ostre zęby gotowe gryźć kamienie, a cóż dopiero mówić o kwaśnych jabłkach.

A lekki wiaterek wciąż melancholijnie huśta się na gałęzi.

Luli, sadku, śliczny, luli
Sen spokojny niech cię tuli,
Wykorzystaj ciche chwile,
Bo już wrzaski słyszę wtyle.

I znów przez ogród przeszedł szloch: — O, biedne my, biedne!
O, cudne letnie wieczory, żegnajcie. Już nie będziemy mogły się wami napawać. O luby, ciepły wietrzyku, już nie usłyszymy twego szeptu.
O, srebrna tarczo księżyc, już nie będziemy mogły marzyć w twoim świetle. Te dzikie, młode istoty zakrzyczą, zamącą całą naszą harmonję.

Zakolebał się silniej wietrzyk na wiotkiej gałęzi:

Luli, sadku śliczny, luli,
Sen spokojny niech cię tuli,
Z każdą chwilą czas ucieka,
Ciężki żywot ciebie czeka.

Omdlałe drzewa już nie miały siły wydobyć z siebie głosu. Zamarły w bezruchu. Spojrzał zgóry księżyc i roześmiał się, ale bynajmniej nie romantycznie, lecz tak od ucha do ucha. Srebrne promienie zaczęły się ślizgać po smętnie spuszczonej wierzchołkach drzew.

Luli, sadku miły, luli,
Sen spokojny niech cię tuli,
Wreszcie kończą się popasy,
Idą dobre, dobre czasy.
Luli, sadku miły, luli,
Sen spokojny niech cię tuli;
Cóż za życie jest tu wszędzie,

Czem Marjówka bez nich będzie?

Luli, luli, sadku śliczny,
Niech już wraca ten tłum liczny,
Dziś Marjówkę — mogę radzić —
Na księżyc tylko wysadzić!

Kurs IV.

TRZY LATA W MARJÓWCE.

„Czas szybko mija”.. brzmią słowa jakiegoś tanga z przed lat, a może miesięcy. Czas mija! Jak to już dawno było.. Słaba nadzieja dostania się na kurs III do Marjówki. Koniecznie do Marjówki i koniecznie na III-ci! A może to wczoraj było? Taki jasny obraz... Złoty wrześniowy dzień.

Rozklekotany samochód pędzi, mijając nieznane okolice. W głowie tysiące pytań, na które nikt nie odpowiada — Daleko? gdzie? Jak będzie?

Marjówka! Cała masa dziewczynek dziwnie jednakowych, wpatrzonych z ciekawością. Uśmiechy, szepty „nowa” — To pierwszy dzień.

Na ramieniu siada ogromny, złowroźny strach. Płaczą się, odpowiadzi — (abc). (abc)... Ile? Boże! jak to będzie? Ach prawda: $a^2 b^2 c^2$ (?), a może nie? — Ale wszystko jedno, i tak nie zdam. Tydzień podobnej męki, a potem dobrotliwe słowa ks. Kanonika: „Zostajesz z nami” Znika strach, a jego miejsce zajmuje tęsknota szara, beznadziejna. Włóczy się wszędzie po kursie, na spacer nawet idzie, jak cień wloką się dni jednakie, jednakie...

Lecz i to mija, ustępując miejsca pracy. Pierwsze słówka francuskie (do tego czasu uczyłam się niemieckiego) niezdarne, nic niemówiące, jakiś referat, wreszcie „Trojanki” i bal. „Ach, ta Marjówka! Tu życie wre i śmieje się!” Naprawdę śmieje się!

Rok, kryjący w sobie wszystkie „naj” od najgorszych do najlepszych, minął. Wakacje, pędzące z zawrotną szybkością — obóz w Mechlinie..

Pedagogiczne tu, pedagogiczne tam, pedagogja, metodyka, dydaktyka, hospicja — IV kurs.

Mały, z jasną czuprynką, ciągle się śmiejący Jaś Ptasek — wychowanek. Wieczna troska, aby był czysty, aby choć dobrze odpowiedział.

Pierwsza lekcja próbna. Czterdzieści oczu, wpatrzonych z ciekawością. Serce wali jak młotem (żeby tylko dzieci nie słyszały!) Pierwsze słowo wypowiedziane nieswoim głosem, a potem już wszystko dobrze, według konspektu (dla pewności leży na stole). Wreszcie ostatnia przedwakacyjna troska — lektura pedagogiczna. Czytanie i pisanie, pisanie i czytanie.

Skończył się kurs IV-ty. Boże, jak szybko! Gdzie długie, nudne pierwsze dni?.. Majestatyczne sunięcie po korytarzach. (Nie wypada na V-tym kursie prędko chodzić, robi to jedynie Gacuś, ale poetom wiele się wybacza). Całą wiedzę, jaką teraz zdobywam (trochę niedostłownie), kryje w sobie mały i duży podręcznik prof. Kota (pospolicie Kot mały i Kot duży). Są tam podobno jeszcze jakieś źródła, nowe kierunki, nowe programy, ale to wszystko błędnie wobec aż dwóch Kotów. A prawda — są jeszcze trzydniówki, a potem będą, a raczej już są — szpitalówki. Najbliższa zaś przyszłość przedstawia się następująco: dużo nieprzespanych wieczorów przy zakopconej lampce nocnej, Boże Narodzenie, a potem „studniówka,” po której na naszych beretach wykwitną dziwaczne znaki (nawet wielka tajemnica). I znów będą wieczory i ranki nieprzespane, a potem — styczni, luty... maj (jak ten czas leci) i... matura, a z nią inne, nowe życie!

Kazika k. V.

CZWARTAKI W ŚWIECIE FANTAZJI I RZECZYWISTOŚCI TECHNICZNYCH.

Dziewczynki, uspokójcie się! — prosi p. Zofja, robiąc surową minę. — Ale bo, proszę pani, co nam ta Sieśka naopowiadała: że w przyszłości będziemy przy pomocy tele-radja oglądały filmy, będziemy wiedziały to, co się dzieje w teatrach, że specjalny telegraf będzie wypisywał gazety o każdej godzinie.

— Dziewczynki, to wszystko ciekawe, ale przystępujemy do lekcji. Proszę mi więc powiedzieć... —

Tymczasem w ostatniej ławce dzieje się coś niezwykłego: nasza Zocha patrzy błędnem okiem gdzieś w dal. Jest ona teraz w jakiejś tajemniczej ekstazie, trochę senniej.. trochę proroczej; przed jej oczyma przesuwają się w przyszłość... Marjówki. Koło gmachu widzi las drzew morwowych, po których wesoło latają jedwabniki. Z ich kokonów wyrabiają na miejscu materiały, które wielkimi wagonami wysyłają do Ameryki.. W gmachu internackim jest urządzenie, które trzeźwi rano zaspane dziewczęta, ubiera je, myje, czesze i odstawia do jadalni. Noszeniem jadła nikt się nie trudzi: z kuchni wyjeżdża ogromna winda, a wraz z nią kotły dymiące, imbryki, talerze. Wszystko to automatycznie maszeruje na stoły, przy których siedzą już zgłodniałe uczennice. Po ciszy udają się dziewczęta do czytelnicy. Tu, patrząc w specjalne, oszklone dziurki, mają wrażenie, że są w warszawskim teatrze... W Marjówce zainstalowany jest telefon, przy pomocy którego można porozumiewać się nie tylko ze światem, ale nawet z paniami nauczycielkami. Szkoła posiada auto i samolot, na których znużone dziewczęta zaczerpują powietrza. Ale największą rzeczą jest to, że...

— Działanie telefonu wytłumaczy Zosia — słychać głos p. fizyczki. —

...Więc, że.. jak się naciśnie guziczek — odpowiada zapytana — to wyleci moc czekoladek i listów od najukochańszych osób!

— O czym ty mówisz? — Na kursie głośny śmiech — .. Ja, ja proszę pani... przepraszam bardzo — mówi Zośka, trąc oczy — ale ja przewidywałam i na pewno to będzie! — Naturalnie, przewidziałaś, iż będzie dwójka, a na drugi raz nie śpij, bo ci tak łatwo nie ujdzie! —

Stenia k. IV.

TRIUMF.

Zwycięstwo odniesione w tegorocznym „Challenge'u” zmusza całe polskie lotnictwo do jeszcze bardziej wytężonej pracy. Nie wolno nam zmarnować tego, co już zostało zdobyte. Musimy się skupić wszyscy pod hasłem „Zwyciężyć w Challenge'u 1934 r.

Fr. Żwirko.

W czytelnicy panuje niezwykła cisza. Wszystkie w ogromnym napięciu słuchamy transmisji z lotniska mokotowskiego, gdzie odbywają się zawody o puchar, zdobyty przez ś. p. Żwirkę i Wigurę.

„Bajan startuje, za chwilę wzleci w powietrze” — wszystkie poruszają się nerwowo i znowu cisza.. chcemy usłyszeć warkot motoru. „Mija metę, proszę zanotować czas” Nie jesteśmy zdolne notować w tej chwili, nasza myśl jest przy samolocie Bajana. Gdyby to było w naszej mocy, przypiełybyśmy drugie skrzydła do jego samolotu, aby mógł jak najprędzej przelecieć. Wszystkie samoloty już są w górze. Całą duszą jesteśmy z polskimi samolotami i przeżywamy wszystko razem z pilotami. Jeszcze jeden wysiłek, ostatni, a spoczniecie na laurach, polscy lotnicy! Transmisję na chwilę przerwano. Denerwujemy się, nie możemy słuchać audycji nadawczej. Audycję przerwano. „Proszę państwa, Bajan przyleciał pierwszy! Jeden ogromny okrzyk wydobył się z naszych piersi. Bajan.. Bajan.. pierwszy!.. Puchar nasz jest! Zwycięstwo! Triumf! Chwała dla Polski!

Z rozkoszą słuchałyśmy, jak Niemiec z trudem wymówił do radiostacji niemieckiej dwa słowa: „Bajan pierwszy”.

Rozdanie nagród i odznaczeń. Hymn Polski grają aż dwa razy (2 pierwsze miejsca mają Polacy), a nam ze szczęścia łzy płyną. Czuliśmy wielką wdzięczność dla dzielnych pilotów naszych za triumf, którym pokazaliśmy światu, że pierwsze zwycięstwo nie było przypadkiem.

My zaś, nie mogąc w inny sposób wyrazić swej wdzięczności za zwycięstwo, za puchar zdobyty, wpłacamy punktualnie składki do L. O. P. P. i uświadamiamy innych o potrzebie rozwoju lotnictwa w Polsce, aby inne narody nie wyprzedziły nas.

M. Ignierowiczówna k. IV-ty.

W INSTYTUCIE OCIEMNIAŁYCH.

Zwiedzamy szkołę muzyczną w Instytucie Ociemniałych, do którego szliśmy mimo zmęczenia z ochotą.

Największe wrażenie wywarła na nas gra na fortepianie jednego z ociemniałych. Jak on ślicznie grał!

Nigdy nie zapomnę tej chwili, gdy z pod jego palców płynęły tony jakiegoś poważnego i smutnego utworu Chopin'a.

Wtedy zrozumiałam dusze ociemniałych, pełne smutku, dla których muzyka jest wszystkim. Jej oddają się całą duszą, nią żyją i w niej wypowiadają swoje myśli i uczucia.

Oni nie widzą tego pięknego świata, tak znienawidzonego przez niektórych ludzi, ludzi o duszach pospolitych i płytkich. Na pewno każdy z ociemniałych pragnie spojrzeć chociaż przez jedną sekundę na otaczający ich świat. Lecz, niestety, to są niedościgłe marzenia.

To też nic dziwnego, że ów ociemniały grał z tak wielkim smutkiem.

Obserwowałam jego twarz, z której można było wyczytać prawie wszystko, co czuł. Malował się na niej smutek, poprzez który przebijało się chwilami jakby zdenerwowanie przelotnie tylko i bardzo krótko gościł spokój na tem smutnem obliczu. Grający przygryzał niekiedy wargę lub marszczył czoło. To znów rozchyłał nieco usta i grał drżący i wzruszony.

Płynęły tony ciche i smutne, jakgdyby ociemniały zgadzał się ze swym losem, lub łkały i płakały, jakby płynęły wprost z duszy buntującej się i skarżącej na swój los. Palce uderzały silnie o klawisze, stwarzając melodyję burzliwą i rozszalałą, dobywając dźwięki coraz głośniejsze i potężniejsze. Grający wtedy pochylał się nieco i ścigał brwi. Słuchałyśmy wszystkie jak skamieniałe. Kilka z nas odwróciło się do ściany, nie mogąc powstrzymać łez. Płakały cicho, aby on nie słyszał. Żal i smutek dławili mnie i ścisnął za gardło.

Jakże szczerze pragnęłam, aby ten niewidomy odzyskał wzrok. Gdy skończył, jedna z nas poprosiła go, aby zagrał coś wesołego. „Niestety” — odrzekł. W tem jednym słowie wypowiedział cały smutek swego życia, pogrążonego w ciemnościach.

J. Marszałkówna k. V.

Z OBOZU W SKÓRNICACH.

Przy pierwszym obozowem ognisku zastanawialiśmy się, czy będziemy miały wieczne ognisko t. zn. trwający aż do zlikwidowania obozu, czy zwykłe, codziennie zapalane. Postanowiliśmy utrzymać ogień stały.

Upłynął tydzień. Zaczęły padać ogromne deszcze. Jedyną naszą troską był ogień. Aby nie zgasł, przykryłyśmy go parasolką. Podczas ciszy któraś z druchów woła: „W parasolce dziura — ogień wypalili!” Sytuacja staje się groźna. Wieczorem udajemy się na spoczynek. Warta miarowym krokiem obchodzi teren obozu. Naraz zerwał się wiatr, a po nim przyszedł ulewny deszcz. Ognisko zgasło... W obozie panuje smutek ogromny. Tego dnia sztandar nie był podniesiony. Nie potrafiłyśmy utrzymać ognia, to okropne. Przez cały dzień pracowałyśmy bardzo solidnie, aby zasłużyć pracą na zapalenie ognia. Tego wieczoru ogniska nie było i smutne udałyśmy się na spoczynek.

Alarm! „Druchny — odzywa się komendantka obozu — w sąsiednim lesie biwakuje harcerka...” Zrozumiałyśmy: jest nadzieja odzyskania ognia.

Noc ciemna. Las szumi cicho, tajemniczo. Przekradamy się po ogień. Zdaleka widać słaby dym. Tak, to z ogniska biwakującej druchny.

Rozstawione w tyraljerkę zbliżamy się do celu. Jeszcze 15 kroków, a już mogę zdobyć ogień. „Stój! — Aresztuj!” Padłam „plackiem” na ziemię. Jedną z „Sarenek” padła ofiarą spostrzegawczości. Pełzam dalej. Jeszcze tylko 7 kroków. Co chwila słyszeć aresztowania. — Jak tak całą drużynę „wytepi”, to z nami źle — pomyślałam sobie. Chwila rozstrzygająca. Skoczę i albo zdobędę ogień, albo... Już jestem przy ognisku. Odzyskałyśmy ogień. Wszystkie twarze poweselały z radości. Bardzo uroczyście zanosiliśmy płonące węgielki i zapalałyśmy ognisko przy śpiewie:

„Ogień jest siłą tworzącą,
i siłą niszczącą jest ogień.

M. Ignierowiczówna k. IV-ty.

SPEJANOŚCI NASZYH SPECJALNOŚCI.

„De gustibus non est disputandum” — powiedział Jowialski vel „Szkop” w słynnej sztuce Fredry. Oj, prawda! Tyle lat siedzisz, biedna uczennico, na ławie szkolnej i nie wiesz, jaki właściwie jest ten twój „gust”

Dopiero gdy znajdziesz się przed progiem dojrzałości, gdy przyjdzie wybierać „specjalność”, zaczynasz się nad tem poważnie zastanawiać. Nie jesz, nie śpisz, aż wreszcie dochodzisz do wniosku, że czynnie trzeba sprawdzić swoje „gustibusy”.

Nolens volens zasiadasz do pracy. Ponieważ wszystko najlepiej jest zaczynać od początku, jak się wyraził jeden ze „starożytniaków” (?) — to samo robisz i ty. Od pierwszego dnia, od pierwszego tygodnia zaczyna się introspekcja. Na początek to co — naj... naj... najlogiczniejsze — matematyka.

Odwalasz — algebrę, geometrię, planimetrię, liczysz przez 2 godziny na różne sposoby — wreszcie dochodzisz do wniosku, że to ci się najbardziej w życiu przyda. — Następuje ogłoszenie: „Koleżanki, biorę za specjalność matematykę.” Kurs zgadza się jednogłośnie. Drugiego dnia kolej na przyrodę. Idziesz do lasu, siadasz na ściętym pnju i patrzysz... i słuchasz.. Wszystko jest takie piękne — tak pięknie coś śpiewa. Ale to gorsze, że nie wiesz, co to śpiewa, na czym siedzisz i co wokoło ciebie rośnie. Przekonujesz się, że niedosyć jest patrzeć i słuchać, ale trzeba wiedzieć, na co się patrzy i czego się słucha. Z tego wniosek: chcąc znać przyrodę, trzeba ją dobrze poznać. Tak też i robisz. Znów małe ogłoszenie: „Koleżanki, przyroda ogromnie chwyciła mię za rozum i serce. Chyba ją wezmę za specjalność”. Kurs nie ma nic przeciwko temu. Trzeci dzień — kolejka na geografję.

Idziesz do sali geograficznej. Siadasz w wygodnym, fotelu. Jedną ręką kręcisz globus, a drugą nieskończoną ilość razy ściągasz i wciągasz mapę. Dochodzisz do wniosku, że niema nic miłszego nad geografję.

Zmiana decyzji. Tym razem ogłoszenie już w mniejszem kółku: „Wiecie, chyba wezmę geografję. — Jednak globus i mapa to mój żywioł”

Czwartego dnia sprawdzanie swych zainteresowań w kierunku historycznym. I co stwierdzasz? Oto w twojem sercu pod wpływem starożytności, średniowieczności i nowożytności zaczynają budzić się niaznane dotąd uczucia i myśli. Monarchja, demokracja, absolutyzm, republikanizm

znajdują w tobie gorącą zwolenniczkę. Zaczynasz wszystko analizować i stwierdzasz, że jednak historia budzi uczucia niepoślednie, zapal do czynu i chęć do działania. Znajac wszystko, co dotychczas było, można stworzyć to, czego jeszcze nie było. Nol — wreszcie odnalazłaś siebie. Stwierdzasz, że od urodzenia byłaś zapaloną historyczką i ostatecznie decydujesz się na historję. Ufl — próby skończone, a mimo to jeszcze masz jakieś wątpliwości. Żeby to już raz skończyć, bierzesz cztery kartki, na nich cztery specjalności. Mieszasz je i kładziesz na stół. W duchu modlisz się, aby wyciągnąć tę, a nie inną. Ażby Pan Bóg lepiej wysłuchał, zaginasz lekko róg kartki ze specjalnością, którą chcesz wyciągnąć i z triumfującą miną — wobec koleżanek — kończysz losowanie. „A niech już będzie — widocznie mi przeznaczone”. Trudno to, trudno się zdecydować, ale bo też każda specjalność ma swoją specjalną specjalność.

G. D. kurs V-ty.

POTĘGA ŻYWIOŁU.

Są wspomnienia, mrozące krew w żyłach, wspomnienia straszne, które długo trwają w pamięci ludzkiej i zawsze stają żywo przed oczyma, chociaż człowiek pragnąłby zapomnieć. Pamiętam.. było to nad wieczorem. Siedziałam w pokoju i czytałam książkę. Wtem słyszę straszliwy głos syreny. Wybiegam... Rozglądam się, czy się gdzie nie pali. Nigdzie nie widać dymu ni ognia, tylko tłumy ludzi pędzą z dziwnem przerażeniem na twarzach. Syrena ryczy coraz głośniejsze i głośniejsze. Biegnę za tłumem. Wkrótce oczom wszystkich przedstawia się straszny widok: tam, gdzie jeszcze przed chwilą kołysały się łany dojrzałych zbóż, teraz jedno morze wody. A z nad powierzchni jego sterczą tu i owdzie wierzchołki drzew. Powódź...

Ogromne żółte fale z polyskującą na swych grzbietach siną pianą uderzały z łoskotem o brzeg, zajmując coraz nowe tereny. Szalał żywioł i niósł na swych barkach snopki zboża, deski, gałęzie drzew. A ludzie stali, patrząc oniemiałymi z przerażenia, głusi na wszystko, co się wokoło nich działo. Nagle ktoś okropnym głosem zawołał: „Ratujmy się, woda podchodzi do zabudowań!” Tłum zakolysał się i przez chwilę słysząc było tylko straszny krzyk, mieszający się z głosem syreny i szumem fal. Ludzie jak oszaleli biegli na wszystkie strony. Kobiety wyprowadzały dzieci z mieszkań i część swego dobytku, uciekając przed rozszalałym żywiołem. Mężczyźni z małymi chłopcami sypali wał. Czoła ich pokrył rześisty pot, a oni wyteżali całą swą siłę, by nie dopuścić dalej wroga — wody. Lecz ta nacierała z coraz potężniejszą siłą i słała fale jedne za drugimi, które całą niszczyły pracę. Wróg był silniejszy. Nie pomogły by nie chcąc widzieć tego, co się dalej stanie. Ziemię ogarnął mrok. Wszelka praca była już niemożliwa. A jednak nikt nie odchodził. Ludzie stali długo, patrząc na ten okropny żywioł, który zabrał im całoroczną pracę, pozostawił bez chleba i dachu nad głową. I stali z oczyma utkwionymi w niebo, gdyż stamtąd tylko spodziewali się pomocy.

Marta Trzaskowska kurs IV.

KĄCIK GIMNAZJALNY

JESIEŃ.

Przez okno naszej klasy widać brzoźki, które teraz obsypane są złotymi listkami. Te listki były kiedyś zielone, ale to było już dawno. Teraz są złote i jest ich mniej, coraz mniej. Bo za każdym podmuchem wiatru spadają. — Lecą na ziemię długo, ważąc się w powietrzu. I razem z temi spadającymi liśćmi zmienia się cały świat. I kwiatów już niema. Ptaki odleciały, drzewa coraz bardziej się złocą i coraz mniej na nich liści. A gdy się patrzy na te spadające liście, na te miejsca, gdzie dawniej były kwiaty, to nie jest się wesołym. Robi się czegoś żal. I nie wie się nawet, czy żal tych spadających liści, czy kwiatów, czy ptaków, które odleciały...

Tego się nie wie. —

Ale to już pewne i wiadome, że z nową wiosną wróci radość i uśmiech złoty. A tymczasem spadające liście pogrążają świat w nieutulony smutek i tęsknotę za słońcem. Ale to tylko jest smutno, gdy się przez okno patrzy, bo w klasie jest zupełnie inaczej.

Tu Sylwia rozgadana śmieje się wesoło, tam „Fircyk” coś tajemniczo szepcze. — Na każdej twarzy widnieje uśmiech. Jedynie Niuńka... ale ona ma zawsze taką minę, jakby chciała płakać. I wcale nie jest nam smutno. To nic, że za oknami smutna jesień, u nas i w zimie trwa wiosna.

K. Musielewicz kl.II.

STRASZNY WIECZÓR.

Dzwonek na pacierz. Wszystkie jak zwykle dość hałaśliwie biegniemy, aby się nie spóźnić. Śmiejąc się, wbiegamy na salę. Wtem jedna z drugoklasistek krzyczy: „Wiecie co, dziewczynki, wojna! Dzisiaj nad Jugosławią ukazał się miecz ognisty!”

Śmiech zamarł nam na ustach. Wszystkie robimy przerażone oczy. „Kto wam powiedział?” — Pytamy. Drugoklasistki wymieniają bardzo poważną osobę i, trzęsąc się, zapewniają nas, że wojna będzie napewno.

Po pacierzu prowadzimy z poważnymi minami rozmowę na temat wojny. Jedna rzuca myśl, która wszystkim przypada do gustu: „Dziewczynki, nie warto się teraz uczyć. I tak niedługo zatrują nas gazami”. Któraś znów mówi płaczliwym głosem: „Żeby chociaż wybuch wojny nie nastąpił przed świętami: przecież musimy jechać do domu”. Wchodzi p. Stella. Zarzucamy ją gradem pytań, lecz pani nie chce nam dać żadnych wyjaśnień. Wreszcie, rozmowa schodzi na koniec świata. Na naszą prośbę p. Stella opowiada nam, jak to będzie. W sercach naszych panuje okropna trwoga, niejednej z nas zbiera się na płacz. Nagle gaśnie światło. Wszystkie krzyknęły, myśląc, że za chwilę stanie się coś strasznego. P. Stella, uspokajając nas, odprowadza do sypialni. Irka K. dzieli się z nami

swojem wrażeniem: „Wiecie co, zdawało mi się, że umieram, patrzyłam, czy mi ręce nie kostnieją” Tego wieczoru chcemy i musimy rozmawiać tylko o strasznych rzeczach. W sypialni p. Stella opowiada nam więc o lożach masonskich i o masonach, którzy wierzą w diabła. Irka krzyczy: „Za nic w świecie nie będę djabłem na św. Mikołaja!”

Przepelnione wrażeniami usnęłyśmy, śniąc o djabłach, końcu świata i t. p. okronościach. Nazajutrz dowiedziałyśmy się, że przepowiednia wojny to tylko wytwór bujnych wyobraźni naszych młodszych Koleżanek. Choć uspokoiłyśmy się, jednak nieprędko zapomnimy o wieczorze, w którym tyle najadłyśmy się strachu.

Janka S. kl. 7.

WYJAZD NA ŚWIĘTA.

Wszystkich Świętych oczekiwaliśmy z wielką niecierpliwością. Czekałyśmy tego dnia, gdy będziemy wsiadały do autobusu i na 4 dni zegnają Marjówkę. Nareszcie! Doczekaliśmy się upragnionej chwili. Lecz los okazał się niezbyt przychylny dla nas! Dnia tego wypadały lekcje najtrudniejsze w tygodniu. Musiałyśmy się pogodzić z tak okrutnym losem i 5-godzin siedzieć przykładnie! Wypisałyśmy na tablicy wszystkie lekcje pokolei. Gdy która z nich przeszła, ścierałyśmy ją, zdawało nam się, że w ten sposób prędzej przejdą. Nic to jednak nie pomogło. Lekcje jakby na złość wlokły się długo. O, ileż westchnień było na każdej lekcji! Niejedna z nas przesyłała pani spojrzenia rozpaczliwe i wdychała: „Ach, kiedyż przejdą te prawdziwie długie godziny!” Nareszcie już ostatnia lekcja. Naraz słyszymy trąbkę autobusową. Nie mogłyśmy usiedzieć na krzesłach. Wszystkie głowy zwrócone były do okna. Zewsząd słychać było pełno wykrzykników: „O, żeby był już dzwonek! Kiedyż skończy się ta lekcja!” Gdy tyle skarg wokoło, dzwonek oznajmił nam, że skończyła się nasza udręka. Wszystkie wybiegłyśmy z ławek i, nie zwracając uwagi na panią, cisnęłyśmy się do drzwi, żeby jak najprędzej wybiec! Za chwilę siedziałyśmy w autobusie, patrząc ostatni raz tego dnia na naszą ukochaną Marjówkę i rozkoszując się myślą, że niedługo będziemy w domu, gdzie nas tak wyczekiwano!

Calinka kl. 1.

Z DZIEJÓW JEDNEGO ZIARNA.

Mieszkałem razem ze swoimi towarzyszami w dużym worku. Było nam bardzo miło i wygodnie. Pewnego razu mieszkanie nasze poruszyło się, u góry zobaczyłem otwór, przez który sączyło się światło. Z otworu wychyliła się wielka ręka, która zagarniała moich towarzyszy. Po niedługim czasie i na mnie przyszła kolej. Zostałem ujęty silną dłonią i rzucony na pulchną glebę. Uczulem dotkliwy ból i straciłem przytomność. Gdy otworzyłem oczy, zauważyłem, że dokoła mnie panowała ciemność. Nie wiem, jak długo siedziałem w tej norze, ale zdawało mi się, że już wieki całe. Jednego dnia poczułem, że jakoś rosnę i pęcznieją, a mieszkanie moje jest już dla mnie za ciasne. Postanowiłem je więc powiększyć. Dopóty kręciłem się, wierciłem, aż wreszcie udało mi się wywiercić nie-
duże wgłębienie, a potem... Och, potem zobaczyłem coś pięknego! Zoba-

czyłem świat boży, oświecony złotymi promieniami słońca, a koło siebie dużo małych, zielonych roślinek. Spojrzałem na siebie i, o dziwo! — byłem tak samo jak i one ubrany i zupełnie do nich podobny...

Mijały dni i tygodnie, a ja i moi bracia coraz to bardziej rośliśmy. Stawałem się wysoki, wreszcie u góry wykwił kłos. Byłem niezmiernie szczęśliwy, że jestem na swobodzie i mogę cieszyć się pięknem świata. Smuciło mnie tylko zachowanie się moich towarzyszy: ilekroć chciałem z nimi rozmawiać, odwracali się ode mnie, nie wiedząc, jaką mi tem robią przykrość. Pewnego dnia całe pole zappełniło się dziewczętami i mężczyznami, postrojonymi w barwne, ludowe stroje, w rękach ich pobrzękiwały kosy i sierpy. Ze zdziwieniem zauważyłem, że pod stalowymi narzędziami bracia moi padali na ziemię. Zrobiło mi się zimno!.. Jedna z dziewcząt zbliżyła się do mnie, zamachnęła sierpem, zrobiło mi się ciemno w oczach, uczułem, że lecę w dół i... nie wiem, co się dalej ze mną stało. Gdy odzyskałem przytomność, zauważyłem, że nie leżę już na ziemi, ale jestem związany z moimi braćmi w snop. Kilka dni przebywałem na polu. Z niecierpliwością oczekiwaliśmy każdego dnia, myśląc, że może nareszcie nadejdzie czas, gdy dowiemy się, co dalej z nami się stanie. Pewnego razu przyszły w pole dwie dziewczyny i, wesoło nucąc, podeszły do nas. Jedna z nich wybrała kilka pięknych kłosów. Przysunąłem się bliżej, myśląc, że będę także zabrany. Ale niestety, spotkał mnie zawód. Dziewczęta odeszły, nie zwracając na mnie uwagi. Bardzo smutno mi się zrobiło. Dlaczego mnie nie wzięły? Co dalej ze mną będzie? Czułem, że muszę się przed kimś pożalić, więc zwróciłem się do jednego z moich towarzyszy: „Dlaczego nas zostawiono?” „Dlaczego — pytasz się, bracie? Ot, dlatego, że brzydota nikt nie lubi, nikt nie chce na nią patrzeć, a przecież my jesteśmy nieładni”.

Dalszą rozmowę przerwał turkot wozu, zbliżającego się w naszą stronę. „Przyjechali po nas” — przemknęło mi przez myśl. Rzeczywiście, ludzie brali kolejno wszystkie snopy i umieszczali je na wozie. I na nas przyszła kolej. Położono nas, konie ruszyły. Zawieziono nas przed jakieś domy i złożono przed stodołą. Ponieważ zaczęło mi się przykrzyć, więc znów zacząłem rozmowę z moim sąsiadem — POCO dziewczęta zabrały tamte kłosa? — zapytałem. — Wplotą je do wieńca, który zaniosą do dworu w dzień dożynek.

Smutno mi się zrobiło. Dlatego, że jestem brzydki nie będę wcale ludziom potrzebny. Więc poco żyję?

— Patrz! — obudził mnie z zadumy głos mojego towarzysza.

Spojrzałem we wskazaną stronę. Na środku podwórza stał pan pięknie ubrany, a koło niego niska, biednie odziana kobiecina.

— O, jasny panie, poratuj mnie w potrzebie — prosiła kobieta pięćro głoonych dzieci w chacie. Maki ani chleba nie mamy. Poratuj nas, panie!

Serce pana wzruszyło się biedą ludzką. Przywołał służącego, każąc dać kobiecie snop zboża. Chłopak podszedł do nas, wziął jeden — odrzucił, drugi — odrzucił, aż wreszcie podniósł nas i podał biednej kobiecie.

— Dzięki ci, panie — szeptała ona — niech ci Bóg błogosławi!

Pan, rzuciwszy jeszcze jakąś monetę, odszedł. Uszczęśliwiona kobiecina wzięła nas na ramię i pośpieszyła do domu. A ja — byłem niezmiernie szczęśliwy: znalazł się ktoś, komu jestem potrzebny!

Zosia Nalanowicz kl. II.

DZIAŁ BYŁYCH WYCHOWANEK.

DO BYŁYCH WYCHOWANEK.

Symbolem łączności jest u nas wigilijny opłatek: dzielą się nim członkowie rodziny, przyjaciele, znajomi.

Przy zbliżających się Świątach Bożego Narodzenia Zarząd szkoły dzieli się z Wami opłatkiem, wspominając Wasze tu życie na ławie szkolnej. Dziś rozproszone po świecie, często bez pracy, wspominajcie te mury szkolne, gdzie Was kochano i gdzie Was dotąd kochają. Niech ta chwila wspólnego święta przypomina Wam, najdroższe, te zasady religijne i etyczne, które starano się zaszczerpić w Waszych sercach. Wytrwajcie!

ZARZĄD SZKOŁY.



SPRAWOZDANIE Z IV-go WALNEGO ZJAZDU BYŁYCH WYCHOWANEK W MARJÓWCE W DNIACH 26, 27 i 28 czerwca 1934 r.

Nim przystąpię do głównego zagadnienia t. j. sprawozdania, chciałabym powiedzieć kilka słów, jakie wrażenie zrobił na mnie pierwszy na którym byłam, zjazd w Marjówce. Dużo słyszałam o szkolnych zjazdach od Koleżanek nieco starszych ode mnie, ale opowiadania te i własne wyobrażenia nie odtworzyły mi tych chwil tak, jak teraz je w rzeczywistości przeżywałam.

Pierwszym momentem, robiącym duże wrażenie, to przyjazd byłych wychowanek. Ileż to osób serdecznych i kochanych oczekiwało na każdą z przybyłych, aby ją mile przywitać w murach szkolnych, gdzie spędziła kilka lat. Zapewne nie tylko mnie, ale i wszystkim Koleżankom to miejsce jest bardzo drogie i pamiętne.

Zaraz po przybyciu każda chciała coś ciekawego zakomunikować, a mając na to zaledwie kilka minut czasu, krótkimi słowami streszczała swoje myśli i uczucia. Opowiadania tego rodzaju wzbudzały w słuchaczach humor, gdyż z rzeczy faktycznie poważnych wychodziły śmieszne. W tym wypadku, chcąc się również podzielić humorem z koleżankami, przytoczę tylko jeden przykładzik „logicznej” rozmowy. „Ach, Jadziu! Oczekiwałam cię od trzech godzin, a ty się dopiero teraz zjawiasz! Opowiadaj, jak się czujesz i jakie towarzyszyły ci przygody w drodze, „żeś tak późno przyjechała?” Na co Jadzia ze spokojem odpowiada: „Tak wyszłam zamaż, mam dwoje dzieci bardzo rozkosznych. Szkoda, że nie wstąpiłaś do mnie, byłabyś je poznała. Ale czekaj, zaspokoję twoją ciekawość, jak ci pokażę zdjęcia” Kol. Jadzia tak była przejęta rolą matki, że i w tym wypadku na pierwszy plan wysunęła sprawy, które ją żywo interesowały. Wzięłam tu tylko jeden fakt, a podobnych, proszę mi wierzyć, było wiele. Jeszcze jedno muszę tu zaraz nadmienić.

Na zjazd przybyły 23 wychowanki, każda w swoim rodzaju tworzyła typ odrębny. Były między nami poważne, mniej poważne, no

i, określając trzecim stopniem — „komiki” Te ostatnie zdołały na swoją stronę pociągnąć wszystkie członkinie, wskutek czego zapanował humor i wytworzyła się bardzo miła atmosfera.

Do podniesienia tak sympatycznego nastroju przyczyniła się również w dużej mierze opieka kochanych i drogich nam osób jak: Ks. Kanonika, Pani Sieradzkiej, nie wszystkim znanej, ale bardzo dobrej P. Przełożonej Nierodzikówny i P. Marii Kleniewskiej. W takich chwilach niejedna z nas zapomniała o swoich zmartwieniach, zabiegach, a nawet rozkosznych pupilach. Żyliśmy dawnym życiem szkolnym, przyjaźnią koleżeńską i rodzinną atmosferą. Tu o wszystkim zapomnieliśmy, nawet i o sędziwej starości, która zbliża się w szybkim tempie. Każda odczuwała tyle sił i werwy, iż przy zabawach szła w płasy i skoki jak dziecko dziesięcioletnie. I tu jasno zdałam sobie sprawę, co radość robi z człowiekiem. Lecz miłe chwile szybko mijają i pozostają tylko wspomnienia. To też gdy przyszedł dzień odjazdu, można było usłyszeć westchnienia i głosy: „Jak tu w tej Mariówce jest pięknie, dobrze, jak błogo. Chciałabym raz jeszcze zacząć na nowo żyć i tu się uczyć.” To powiedzenie wyrwało się nie jednej, ale znalazło wtór we wszystkich naszych sercach. To też, odjeżdżając, postanowiłyśmy sobie wznowić zjazd w niedalekiej przyszłości, bo za 2 lata, aby móc częściej przeżywać tak radosne chwile w gronie osób bardzo przez nas kochanych i nas kochających. Drogie Koleżanki! Do Was wielki apel: jeśli która nie była ostatnio na zjeździe, powinna na najbliższy zjazd przybyć koniecznie. Ma przecież dwa lata czasu, więc śmiało może się przygotować.

Te, co były, na pewno przyjadą pierwsze, gdyż, będąc ostatnio, przekonały się doskonale, ile radości sprawiły drogim naszym dawnym Wychowawcom i ile same radości zażyły. Zapewniam Was, iż tu o wszystkim, co gnębi człowieka, zapomnicie, zaczerpniecie sił do dalszej pracy pełnej trudu i mozola, oraz zdobędziecie wiarę w lepsze jutro. A więc od dziś zabieramy się do przygotowania paru groszy na podróż, robimy mocne postanowienie — na zjazd koniecznie jedziemy! Pamiętajmy również na przyszłość: „Chcieć, to móc”. Wszystko nie od kogo innego zależy, tylko od nas. Teraz krótko zdam sprawę ze zjazdu, na który przybyłyśmy w przededniu 25 czerwca, a który trwał dwa i pół dnia: 26, 27 i 28 do południa.

Porządek obrad dwudniowych był następujący:

- 1) Prezeska Koła, koleżanka Marja Morawska zagaiła obrady i powitała wszystkich obecnych w imieniu Zarządu Koła.
- 2) Ksiądz Kanonik w bardzo serdecznych słowach przywitał wszystkie obecne koleżanki, poczem i p. Sieradzka.
- 3) Wybór prezydium — Na przewodniczącą zjazdu została poproszona kol. Michalina z Bedyńskich Stępniowa.
- 4) Odczytanie porządku dziennego.
- 5) Odczytanie depesz i listów.
- 6) Sprawozdanie z działalności Koła i Zarządu.
- 7) Wybór nowego Zarządu i Komisji Rewizyjnej.
- 8) Odczytanie Statutu Koła i dyskusja.
- 9) Wolne głosy.

Do Zarządu weszły Koleżanki:

Prezeska — Zofja Kowalska.

Vice-prezeska — Marja Krzemińska.

Sekretarka — Eugenia Kolanowska.

Vice-sekretarka — Anna Pawlikówna

Skarbniczka — Eugenia Majkowska

Vice-Skarbnicza — Halina Chrzastowska.

Do Komisji Rewizyjnej weszły Koleżanki:

Marja Morawska, Leokadja Wrocławska, Anna Szyszkówna. Oprócz wymienionych punktów program mieścił dwa referaty.

1) Ks. Kanonika p. t. „Dyfuzja psychiczna”

2) i p. Switalskiej o pracy Społecznej.

Poza obradami w wolnych godzinach i wieczorami odbywały się śpiewy, zabawy, wycieczka do lasu, gdzie robiłyśmy amatorskie zdjęcie. Nauczyłyśmy się również robić zabawki z kartonu.

Uchwaliliśmy: 1) Składka członkowska roczna wynosi 3 zł. przyczem każda z członkiń, opłacająca powyższą składkę, będzie otrzymywała bez osobnej dopłaty szkolne pismo „Brzask”.

2) W celu należytego postawienia w temże piśmie „Działu byłych Wychowanek” został powołany Komitet Redakcyjny. Jednak wszystkie koleżanki są proszone o nadsyłanie artykułów. Tematy mogą być dowolne. Przesyłać należy do Zarządu K. B. W.

3) W Statucie Koła dodano punkt: usuwa się z Koła członkinie, które przez 3 lata nie opłacają składek.

Aby więc ułatwić uregulowanie składek Koleżankom zalegającym z opłatą zredukowano do 2 zł. wszystkie składki zaległe do zjazdu (tj. do 1933/4 włącznie).

4) Następny zjazd odbędzie się za 2 lata, t. zn. w 1936 r. w czasie rozdania świadectw ostatniemu rocznikowi, kończącemu Seminarjum.

5) Na opiekunkę Koła poproszono p. Marię Kleniewską.

Trzeciego dnia zjazdu, po południu, żegnane serdecznie przez Koleżanki i drogie nam Osoby, opuściliśmy Marjówkę z postanowieniem przybycia tu za 2 lata.

*Jedna z najmłodszych Wychowanek
Ania Szyszkówna.*

WSPOMNIENIA Z PRAKTYKI PEDAGOGICZNEJ.

Czasem, gdy życie dosyć wyraźnie i twardo spojrzysz w oczy, a tem samem pokaże swoje prawdziwe oblicze i gdy z właściwym sobie kaprysem zaczniesz hojnie rozsiewać przykre i niespodzianki — dobrze jest przymknąć powieki na teraźniejszość i cofnąć się myślami do wspomnień miłszych i lepszych. To jest mój stały manewr wobec życia. Dlatego może nigdy nie popadam w głuchą apatię, czy w otchłanny, czarny pesymizm.

Pamięć dobrych momentów zwykle mnie krzepi i każe wierzyć, że takich jeszcze całe masy przeżyję — a ze złem, czy smutnem spotkać się zawsze trzeba, bo tylko przez kontrast poznać i ocenić można najlepiej radość. Taka filozofja może nie jest nader głęboka, ale bezprzeczenie wygodna i, powiedziałabym nawet, stanowczo pomocna.

Ktoś, kto, aby uprzytomnić sobie swoje czasy szkolne i zaczerpnąć z nich jasnego, mocnego spojrzenia — musi sięgać wstecz poprzez minione trzy lata czasu i życia — ten siłą rzeczy i warunków stwarza sobie swoją własną filozofję. Musiałam o niej wspomnieć, bo tylko dzięki niej uciekam pamięcią do chwil, które są antidotum czasów obecnych (po półtorarocznej płatnej praktyce jestem bezrobotną).

A więc prosto, gdy jest mi źle, sięgam do woreczka wspomnień i nizam paciorki poszczególnych obrazków na wspólną nić przeszłości. Uśmiecham się sama do siebie, gdy oczyma minionych chwil — widzę się wśród rozbawionych, względnie słuchających dzieciaków, przeważnie żydów. Rasa jeszcze nie zdążyła odpowiednio napiętnować tych twarzy, bo to zaledwie II-gi oddział.

Na sześćdziesiąt troje dzieci, zaledwie kilkanaście buź katolickich. Praca jednak z niemi miła. Dziewczynki chętne, przeważnie posłuszne i pracowite. Żadnego szczególnego „tumana” jak się to określa, owszem, kilka wybitnie zdolnych, w tem większość żydóweczek. Parę miłych „śpiewaczek” klasowych, parę szczególnie ładnie deklamujących, kilka „rysowniczek” pozatem pociecha i sympatja całego oddziału, niezgrabna, wysoka Basza Gorlicka (żydóweczka), która ma szalenie ciężką wymowę (dżabę zamiast żaba, totut — kogut) i mocno nieskoordynowane ruchy — z wyrazem stale zalęknionych oczu; podziwiana przez koleżanki dla jej sprawności w wykonywaniu wszystkich działań i zadań rachunkowych. — I jakby dla kontrastu przypomina mi się z równą wyrazistością oddział IV b (przy selekcji były to dzieci mało zdolne), którego również byłam wychowawczynią. Tutaj już nawet złudzeń najmniejszych mieć nie można co do większości „mniejszościowej”. Przez ścianę pokoju nauczycielskiego, słyszę „sympatyczny” żargon moich wychowanek, a za chwilę widzę ich głowy przeważnie rozczochrane i twarze o charakterystycznych nosach i oczach. — Lekcja polskiego i historii (tych dwóch przedmiotów uczyłam w tej klasie) wymagały prawdziwie wiele cierpliwości i panowania.

Pesla Osja opowiada o Kościuszcze. (Zabawiłam się kiedyś w stenografkę i kopjowałam, zresztą lepsze od innych, jej odpowiedzi).

„Tadeusz Koszczusko urodził się na ziemi litewski. On był synem szlachczyca. Rodzice dały go szkoły rycerskiej, żeby tam się kształcił. Tam uważano go za dobrym uczniem i już jak skończył dawano go do Francji, żeby tam się uczył. Gdy już skończył szkołę, został inżynierem” i t. d. zachowując stale ten sam wykwintny i czysty „rasowy” styl.

Zastanawiałam się niejednokrotnie i przemyślałam nad sposobami nauczania zdań krótkich, a gramatycznie poprawnych, specjalnie ciekawie opracowywałam, aby zachęcić do języka i ułatwić go. Wszystko to przynosiło bardzo mizerne wyniki; to nazajutrz wymagało powtórzenia „da capo”. Przyczyna tkwiła w jednym. Młodsze dzieci chętniej posługiwały się poza szkołą językiem polskim, niż starsze. Żargon żydowski bez żadnej gramatyki, wykoszlawiony bardzo indywidualnie, był ustawiczną przeszkodą w pokonywaniu trudności języka polskiego, Smutniejsze, — bo i katolicki dość często wyrażały się błędnie na sposób żydowski. Stałe obcowanie z koleżankami liczebnie trzykroć silniejszymi, a przez naturę obdarzonymi krzykliwą i natrętą wymową — dawa-

ty rezultaty wielkie i widoczne acz ujemne. Grono nauczycielskie w Chmielniku musiało pracować (i pracuje dotychczas) stale z napięciem i ustawicznie napiętą uwagą w dwóch kierunkach: języka i treści.

Wyjątkowo w moich oddziałach, nie miałam dzieci wyraźnie upośledzonych. Pamiętam natomiast doskonale uczenicę trzeciego oddziału, Chanę Warszawską, o której koleżanka ciekawe opowiadała szczegóły. Raz przyniosła zeszyt Chany z dyktandem słuchowo-wzrokowemu (!)

— „Zla szwka lasu zostu małe drzerdo. Zezeki drzeki lat Ale drze. A jest bieki byli lazat i zezerdi i lukrz. W karzk porzk drzier jak deszczenie drzed. Skosia są karaz podzie. A dzieci tyto parzki kiek. Pónóla lasnie dzie. A karki na g.”

Tak się przedstawiało dyktando Warszawskiej, podczas kiedy nauczycielka podyktowała:

„Na brzegu lasu rosło młode drzewko. Przeszło wiele lat, aż wyrosło w duże drzewo. A potem przyszli ludzie i ścięli je. W tartaku porznęli je na deski, które kupił stolarz. Stolarz zrobił z nich różne przedmioty, potrzebne ludziom. A gdy skończył pracę, powiózł drózką koło lasu te przedmioty.”

Wogóle wszystkie dyktanda Chany były na jej sposób „przerobione”. Pozatem uczenica orjentowała się dostatecznie w rachunkach, w historii i przyrodzie słabo, ale możliwie. Język polski zatrzymał ją w oddziale pierwszym dwa lata, w drugim tylko rok, a w trzecim trzy lata.

Starano się zgłębić przyczynę tej anormalności językowej, czy myślowej, objawiającej się w piśmie (mówiła stosunkowo nieźle) — żadnej choroby, żadnego wstrząsu nikt z jej otoczenia nie pamięta. — W ubiegłym roku usunięto ją ze szkoły.

Wspomnienia z czasów, gdy pracowałam w szkole, zaliczam do jednych z najmilszych — aczkolwiek, jak już wyżej zaznaczyłam, wymagały one, zwłaszcza od początkującej nauczycielki, dużego wysiłku woli, by wytrwałością i cierpliwością utrzymać nerwy we względnym spokoju i porządku. Dziś, gdy mi ofiarowano praktykę bezpłatną, w równie żydowskim miasteczku jak Chmielnik — Nowym Korczynie — serdecznie pożałowałam, że wobec nawskroś kryzysowych warunków materialnych, nie mogę pójść do dzieci, które już częściowo znam słabe i dodatnie strony.

Uważam jednak, że wszystkie posunięcia życia, są celowe, więc nie rozpaczam, pocieszając się słodką nadzieją, że może dobry los da mi jakieś inne miłe „zadośćuczynienie”.

Ola Wolańczykówna.

Z OBOZU NA WILEŃSZCZYŹNIE.

Hallo, hallo, harcerki z Marjówki, coście robiły w ubiegłe wakacje? Z pewnością nudziłyście się, szukając jakiejś przyjemnej rozrywki. No, przyznajcie się. Wielka szkoda, żeście nie były na wileńszczyźnie na obozie instruktorskim. Prowadziła go nieoceniona druchna Ewa Grodzka, a władcze berło drużyny, w której znajdowały się wychowanki Marjówki, zastęp „Lnów” dzierżyła dzielna i kochana druchna Marja Fidlerówna. Mówię wam, a raczej piszę, że niema to jak na obo-

zie. „Rano wstać, późno spać, dzielną i prawą być” wspomnieniem — „oto maksymy obozowniczek.

Dwie pierwsze nie są tak straszne, jak napozór wyglądają, dwie następne trudniejsze, lecz i te dają się zrealizować przy dobrej woli.

Milem i najstosowniejsem do roztrząsania na łamach Brzasku obozu są wszelkie biwaki, wycieczki i t. p.

„Lny wyruszają na biwak!

Plecaki, buty, mapniki, zegarki $\frac{8}{10}$ i kompasy $\frac{2}{10}$ defilują przed druchną zastępową.

Gorąco jak w piekle, lecz zapominamy o wszystkim patrząc na piękno jeziora, rozlewającego swe wody tuż u naszych stóp. Wspaniałością swą przechodzi ubogą moją elokwencję. Pierwsze wrażenia: bajka. Naokoło las, szumiący w takt kołyszących się szuwarów lub łódki, sunącej po srebrzystej tafli wody, przetykanej brylantem, szmaragdem czy topazem. Takie złudzenie miałyśmy, patrząc na ten czar przyrody poprzez migocące promienie lipcowego słońca. Nie było to jednak miejsce naszego biwaku, więc opuszczam je, dążąc do następnego już indywidualnie, wsłuchując się w szepty litewskiego boru.

Na szczęście nie był to mickiewiczowski bór, gdzie gąszcz tamował drogę do matecznika, tu mnóstwo ścieżek ułatwiało, a zarazem utrudniało drogę zwłaszcza tym, które nie posiadały kompasów lub zegarków. Niejedna w to samo miejsce dwa razy powracała, lub, wszedłszy dalej, wracać musiała, by odnaleźć odpowiednią drogę na mapie. Ileż to razy w ciągu godziny powracała myśl noclegu samotnego na drzewie, lecz mimo tylu powikłań dostałyśmy się do oznaczonego punktu, chowając nowe doświadczenia do ogólnego zbiornika. Wrażenia zostały niezatarte dotąd.

Dla ochłody zsiadłe mleko i dalej w drogę nad trzecie z kolei jezioro, w którego wodach odbiło się już zachodzące słońce. Miałyśmy wrażenie, że to nieczna ręka syna tej wody rozlewa krew. A smutne brzozy upewniały nas w tem, pochylając w rozpacz swe ramiona nad ciemną tonią.

Tu, rozpaliwszy ognisko, ułożyłyśmy się do snu, mając za posłanie chróst, a nad głową sklepienie niebieskie: Usypiałyśmy przy miarowych krokach warty, czuwającej nad bezpieczeństwem zastępu jasno — i ciemno — dziewcząt, którym marzył się królewicz z podziemnych pałaców jeziora szemrzącego cicho, cicho. Aż nastał twardy zbawienny sen.

Obudziłyśmy się rześkie, ochocze do dalszych wędrówek. Powracając, żyłyśmy nadzieją włóczęgowskiej wycieczki do Wilna.

Nie omyliłyśmy się w swych nadziejach.

— Jutro o świcie zaczynamy swój szlak wileński — pada rozkaz po wieczornem ognisku.

Nazajutrz otwieram oczy, a w namiocie mrówczy ruch. Czując podświadomie tylko, że trzeba wstać, zsuwam się z pryczy. Rzeczna woda orzeźwiła mnie, a już całkowicie plecak z bochenkiem chleba, opierający się o moje plecy.

Wywiady po wsiach małemi grupkami przynosiły wiadomości o życiu tych ludzi biednych, szczerze przywiązanych do kraju.

Stróme, zarośnięte lasem brzegi Wilji, szumiącej w swej dzikiej prostocie, gdzie ręka ludzka nie położyła jeszcze swego piętna cywilizacji,

kazały ukochać tę ziemię, która tyle natchnienia dała naszemu wieszczowi. W ciągu dnia żyliśmy tylko tem pięknem natury. Wieczorem kładliśmy się w gościnnych progach stodoły, mając pachnące siano za posłanie, niczem Tadeusz. Podobnie jak jego i nas promienie słońca, zaglądające przez szpary wrót, budziły do dalszej wędrówki, aż stanęliśmy w Witoldowym grodzie, dziękując za tyle piękna u stóp „Bogardzicy” — Tu złożyliśmy w ofierze swe serca, bijące miłością pod szarym mundurem harcerskim.

Wicher (Marja Stróżyńska).

UAWGA!

Niniejszem komunikujemy kochanym Koleżankom, że w następnych numerach umieszczać będziemy konspekty ładnych lekcji z rachunków dla starszych klas szkoły powszechnej.

ZARZĄD K. B. W.



— KRONIKA: —

KRONIKA OGÓLNA. Rok szkolny 1934/35 rozpoczął się 20 sierpnia uroczystem nabożeństwem. Po uczciwie spędzonych wakacjach z zapalem zabieramy się do pracy.

2/IX. Odbyło się pierwsze zebranie koła „Jedność”. Dowiedziałyśmy się, że rozpoczynamy rok szkolny pod hasłem dokładności.

8/IX. Dziś odbyło się pierwsze w tym roku walne zebranie L. O. P. P., na którym p. Jadwiga Ćmińkiewicz, opiekunka Koła, w gorących słowach Zachęciła uczennice do popierania wielkiej idei L. O. P. P.

16/IX. Ostateczna rozgrywka w przestworzach zadecyduje o zwycięstwie w Challenge'u. Z zapartym oddechem śledzimy komunikaty z pola mokotowskiego. Bajani zwyciężyli! Do radosnych okrzyków na polu mokotowskim, — dołączyliśmy nasze: „Niech żyje Bajani!”

22/IX. O 3-ciej rano kurs V-ty wyjechał na wycieczkę pedagogiczną do Warszawy.

29/IX. Po tygodniowym pobycie w stolicy piątki wróciły do Marjówki, przywożąc z sobą powiew „szerokiego świata” w postaci nowych wiadomości i wrażeń.

5/X. Dziś do Marjówki zawitał P. Wizytator Wierzbicki. Staramy się, aby wizytacja wypadła jak najlepiej.

15/X. Ku czci królowej Jadwigi Sodalicja Marjańska urządziła akademję, która wypadła b. dobrze.

25/X. W związku z tygodniem oszczędności odbyła się i u nas akademja, na którą złożyły się: śpiew, eklamacje oraz obrazek sceniczny.

28/X. Święto Chrystusa króla K. S. M. ze Smogorzowa oraz Stowarzyszenie św. Wincentego à Paulo uczciło akademją, na którą zostałyśmy zaproszone.

1/XI. Wszystkich św. Bardzo dużo dzwoneczek, zwłaszcza z Semi-narjum, pozostało w szkole, uprzyjemniając sobie czas słuchaniem radja-

11/XI. Pamiętna rocznica odzyskania wolności. Wieczorem na akademji stanęła przed nami jak żywa chwalebna przeszłość Polski, rozbudzając w nas wielką miłość ku ojczyźnie i cześć dla Jej bohaterskich synów.

14/XI. Dziś zaczęły się rekolekcje. Na trzy dni oderwiemy się od codziennych poziomych zajęć, a zajmiemy się naszemi duszami. Pragniemy wynieść z nauk ks. kanonika jak najwięcej, tem bardziej, że dla niejednej są to ostatnie rekolekcje w szkole, a kto wie, czy nie w życiu.

18/XI. Znow gwarno w gmachu szkolnym. Fortepian i skrzypce wypoczywały przecież całe trzy dni. Jak co rok, tak i teraz odbył się uroczysty wspólny obiad. Było b. miło. Staraliśmy się, aby każda z pań profesorek choć na chwilę zaszczyciła kurs lub klasę swą obecnością.

21/XI. Dzisiaj obchodziliśmy 30-lecie święceń kapłańskich naszego kochanego Dyrektora. Rano na Mszy św. prosiłyśmy Boga, aby zachował Go nam długie lata.

25/XI. Koło „Jedność” urządziło loterję fantową. Fanty były ładne i wartościowe więc losy rozebrałyśmy b. prędko.

KURS V. 13/X. Stałe dyskusje na temat posad. P. Ola pociesza nas, że wszystkie dostaniemy posady, bo trochę nauczycieli umrze, a mężatki zostaną usunięte. „To zamąż nie można wyjść, będąc nauczycielką? To źle!” — kłopotce się Kazika.

15/X. Imieniny „Ezopka” uczciliśmy odśpiewaniem: „Sto lat” i pójściem na paclerz i zpowrotem parami.

17/X. Lekcje próbne. „Prosta, tnę ją raz, dwa, trzy razy. Płaszczyna, przedłużam, jeszcze, jeszcze i jeszcze..”

„Kąt pełny, półpełny, prosty, ostry, rozwarty”. Krytyka: identyczne odtworzenie p. Chełchowskiej; planowo, lecz grobowo; z uśmiechem, ale bez celu. Krytyka zawsze zarzut ma, oj, ma!

17/X — U...u...u... dlaczego go zabili? huu już nie żyje! Piotr II królem. h.. u.. u.. — rzewnemi łzami oplakuje śmierć króla Jugosławji i min. Barthou moja roztomiła sąsiadka — znacie ją.

21/X. Już po sesji. Mamy kilka zalet, są i pewne niedociągnięcia, ale tych niewiele.. Rada Pedagogiczna wydała sąd, że jesteśmy „ludem osiadłym”

26/X. Zorganizowałyśmy koleżeńską pomoc klasową.

1/XI. Anielka, widząc, że harcerki robią latarki na groby na dzień zaduszny, zapytała: „Czy ludzie cywilni też mają to robić?” Uśmiełyśmy się z naszego „cywila”

20/X. Z racji imienin pani polonistki zamiast przygotować na lekcję Prolog III części Dziadów, urządziłyśmy na kursie całe przedstawienie. Dodałyśmy jeszcze nad program inscenizację piosenki: „Tam na błoni błyszczą kwiecie”. Jak to wypadło? Kto nie widział, niech żałuje, bo już nie zobaczy.

25/X. Rozpromieniona Sieśka do koleżanek: „Dziewczynki, już zapłaciłam p. dentystce 5 zł. i zostało mi tylko 45 zł. do zapłacenia!” Rzeczywiście, że to bagatela, w porównaniu z tem, co już zapłacone.

3/XI. IV kurs urządził IV część Dziadów. Szczęście, że nie było tam Mickiewicza, bo Wisia tak okropnym głosem wołała: „Hej, sowy, puhaćce, królice, że na pewno autor „Dziadów” uciekłby ze strachu przed — królami.

KLASA V. 23/X. Hala prowadzi gimnastykę „po francusku”. Podniesionym głosem wydaje rozkazy i wykonuje odpowiedni ruch, a my ją naśladujemy:

— Sortez de bras! — Wykonujemy to w milczeniu.

Le bras gauche en avant! — mówi Hala trochę niepewnym głosem i podnosi nogę. Wybuchnęliśmy głośnym śmiechem.

30/X. W sypialni V klasy pokazała się mysz. Przyniosłyśmy więc na noc kota, żeby ją złapał. Nagle Danusia zaczęła krzyczeć, żeby kota wyrzucić, bo ona się boi. Dziewczynki pytają się jej dlaczego. Po długich naleganiach Danusia odpowiada, że w tej chwili jej się przypomniało, o powiadanie o jednym panu, któremu kot przegryzł gardło, gdy on spał. Czem prędzej wyrzuciłyśmy kota za drzwi, bo coby, to było, gdybyśmy jutro obudziły się z przegryzionymi gardziółkami?

KLASA II. 4/X. Lekcja robót. Zosia, chcąc, aby jej p. Aleksandra wycięła dekolt w nocnej koszuli, mówi: „Proszę pani, jabym prosiła, żeby mi pani wycięła otwór w głowie.” — „Ależ, Zosiu, co ty mówisz, mam ci wyciąć otwór w głowie?” „Oj, nie otwór, proszę pani, tylko dziurę” — poprawia się Zosia.

9/XI. „Proszę pani — pyta Marysia p. Stelli, — czy II-ga klasa nowego typu to jest to samo, co IV starego?” „O, nie, wy jesteście starsze o pół roku od dawnej IV klasy.” „Aha, to my jesteśmy wpół do piątej!” — wykrzykuje ucieszona Krysia.

KLASA I. Pierwsza lekcja francuskiego. Pani profesorka wchodzi do klasy i odrazu mówi do nas po francusku. Trwoga zapanowała w całej klasie, bo większość pierwszy raz słyszy język francuski. Dziewczynki zaczęły się pytać Halszki. — Czy pani nie umie po polsku? — Aż nareszcie sama pani, widząc, że z nami nic nie robi, powiedziała jedno zdanie po polsku. Cała klasa z radości uśmiechnęła się i odetchnęła z ulgą, że pani umie mówić po polsku.

30/VIII. Kilka dziewczynek poszło zapisać się do harcerstwa. Druchna nas zapisuje, a jedna pyta się, czy może odrazu kupić sobie krzyż i przypiąć sznur. Z trudem wytłumaczyłyśmy jej, że krzyż się dostaje dopiero potem, jak się dobrze pracuje i t. d.

10/IX. Zebrałyśmy się i rozmawiamy o burzy. Gdy zaczęłyśmy mówić o sposobach zabezpieczenia się od pioruna, jedna dziewczynka z wielką powagą pyta: „Czy nie możnaby zrobić kapelusza z piorunochronem?”

PRENUMERATA ROCZNA 3,50. PRZESYŁKA 3,50.

Redaktorka odpowiedzialna: IRENA KOWSKA.

Adres Redakcji: SEMINARIUM NAUCZ. ŻEŃSKIE W MARJÓWCE P. GOŹDZIKÓW

Druk Szkoły Rzemiosł w Marjówce.